

Wśród kwiatów



ELIZA ORZESZKOWA

Wśród kwiatów

Stanisławowi Krzemińskiemu
przesyła
Autorka.

Piękne lato, piękny las. Duży las, szlakiem szerokim kręto sunący razem z szerokimi zakrętami Niemna. Właściwie jest to bór, bo przeważają w nim olbrzymie iglaste, sosny ze wzrostem dużym, postacią wyprostowaną, z zielonością ciemną i kiśćmi pędów młodych bardzo jasnych, u wierzchołka gałęzi każdej, jak z pękami zapalonych u słońca świeczek.

Ale są i brzozy. Stoją po jarach, na ścianach poszarpanych, białe kory kładą na żółte piaski, po urwiskach sypią deszcze gałęzi płaczących. Innych drzew prawie niema; gdzieś niedzie osika drży i furczy, jak strumyk biegnący po kamykach, dąb stoi gruby, mocny, rozłożysty, między brzożami, jak dziad wśród dziewic. Miejscami igły i liście mieszają się w gęstwiny cieniste, uroczyste, z majestatem natury samotnej, drzemiącej w zmroku.

Co tam wewnątrz, na dnie? Na dnie, kędy tylko spojrzeć, Jastrzębiec rozkłada po ziemi liście grube, włochate, prostacze. Może dlatego jest ich taka moc nieprzebrana, że są tak prostacze. Nie ma to wyzębień, ani wcięć, ani zgoła przyozdobień żadnych; kwitnie też lada jako, gdzieś niedzie żółtą koroną nieładną, na łodyżce sztywnej, jak na tyczce. Ani wdzięku, ani kunsztu niema w tym demosie leśnym, który, jak demos każdy, świat zalewa. *Hieracium pilosella!* Takie to grube, włochate, nieładne, że żal oczu na patrzanie, a takie plenne, jakby dążyło do zawładnięcia światem. Pleni się, rozmnaża, jest wszędzie, nigdy więcej nad pół cala od ziemi nie odrasta, okrąża sosny niebotyczne, zagląda pod paprocie, spływa w jary, idzie na polany, a gdziekolwiek przybędzie, tam sady i sady liście jajowate, całobrzegie, siwym włosem porośłe. W kształt gwiazd je sady, niezgrabnych, bardzo gęstych i bardzo niskich. Zwyczajnie lud prosty, któremu jeżeli i przyśnią się gwiazdy, to niezgrabne.

Ale, dzięki Bogu, nie sam tylko Jastrzębiec posiada siłę i możliwość mnożenia się na tym świecie. Mają je także w stopniu niemalym Borówki. Dwie mianowicie: Borówka brusznica i Borówka czernica, tak podobne do siebie, jak siostry rodzone. Bo też i są siostrami. Nazwiska ich rodowe: *Vaccinia*; imiona, pod którymi znane są na wielkim świecie: jednej *Vitis idaea*, drugiej *Myrtillus*. Istotki wyższe wzrostem od Jastrzębca, niby drzewka malutkie, takie wyprostowane, sztywne, w zgrabnym ubraniu z listków skórzanych i połyskujących. Jest tego tak wiele, rosną laskiem niziuchnym, tak gęstym, że miejscami niepodobna ominąć ich stopą. Ale to nic nie szkodzi, bo idzie się po Borówkach, jak po szczołce elastycznej; uginają się one pod stopami jak sprężyny i ledwie przejdiesz, wyprostowują się znowu sztywne i czupurne. Listki mają jak ze skóry, kwiatki mają jak z wosku. Lecz teraz już przekwitły. O Jastrzębca nie dbają; rosną z nim razem i pomimo niego, a niekiedy nawet przepędzają go het precz, za mchy, których on unika, a z którymi one godzą się wyśmienicie. Właśnie tam, kędy posłanie z mchu najpuszystsze i najcieleńsze, najgęściej natykają się malutkimi drzewinkami siostry Borówki; ale która z nich jest *Vitis idaea*, a która *Myrtillus*, niech już sobie panowie botanicy decydują, bo nas ciekawość ogarnia: co to takiego w tem miejscu tak mocno pachnie? Przysiądź można, że konwalia, lecz to niepodobna, bo przekwitła dawno. Jednak mocna woń konwaliowa wybucha z dolinki, która pomiędzy pniami sosen jeży się borówkami, zmieszanymi z żółtym kwiatem Jastrzębca i kulkami białymi koniczyny leśnej. Pochylić się trzeba i długo szukać pośród borówek i koniczyny, aby rozpoznać, że to Gruszczyca pachnie; która Gru-

szczyka? bo jest ich kilka siostr rodzonych... Siostry *Pyrolle*, rozmaite imiona chrzestne noszące. Tu znajduje się *Uniflora*, jedyna z pomiędzy nich pachnąca. Inne kwitną obficie, okazałej, lecz w milczeniu, zapach bowiem jest głosem rośliny, a one go nie posiadają. *Uniflora* posiada kwiat jeden tylko, mały, biały, pięciopłatkowy, jędrny i z brązowego środka wyziewający won konwaliową. *Uniflor* jest niewiele; wszędzie i zawsze śpiewaczek znakomitych jest niewiele. Różnoimienne siostry jej rozradzają się obficie, ale teraz jeszcze ich ani widać. Ona pierwsza otworzyła na świat oczy i zaśpiewała; gdzieniegdzie na mchu wilgotnym jaśniej płatkami śniegu i śpiewa wonią, upajającą jak wino szampańskie. Daremnie walczy z nią zapach mokrej ziemi, przypominający deszcz i grzyby; daremnie nawet żywica rzuca z wysokości sosen tony świeże i mocne; *Pyrolla Uniflora* zwycięża. Jej nieliczne, drobne, śnieżne korony śpiewają tek przenikliwie i słodko, że trzeba odejść, aby oprzeć się pokusie położenia się na mchu wilgotnym i zaśłuchania w pieśni, płynącej po smugach słonecznych, na które padają chwiejące się smugi cieniów.

Tu cicho; ledwie kiedy niekiedy słaby ruch powietrza zakołysze gałęzią i przemknie po twarzy pocałunkiem krótkim, ale w górze wiatr chwieje wierzchołkami sosen i od tego, cienie rzucane od sosen płyną po ziemi to wolniej, to prędzej, to w jedną stronę, to w drugą, odkrywając przestrzenie osłonecznione to węższe, to szersze. Teraz kilka takich cieniów długich i palczastych odpłynęło daleko, daleko i odsłoniło przestrzeń usianą — rubinami. Rubiny, zmieszane z płatkami bieli niepokalanej, goreją tu, owdzie, wszędzie, a gdzie ich najwięcej, tam zapach najsilniejszy.

Znowu zapach, ale inny niż *Uniflory*, łagodniejszy, lepiej znany, tak znany, że niektóre strofy jego opiewają uciechy, uciechy rajskie własnego naszego dzieciństwa. Posłuchajmy chwilę. Oprzyjmy się o pień drzewa i zamknijmy oczy. Słowa pieśni łatwiej dosięgają słuchu, gdy wzrok wciągnięty w duszę, a co tam trzeba będzie zobaczyć, to odmaluje się pod powiekami. Rubiny, rozsiane po krzewinach, stojących w blasku słońca, tak śpiewają:

„Za topolami wielkiego dziedzińca słońce czerwone zachodzi; u szczytu stodoły bocian stanął na jednej nodze i rozklekotał się na całe gardło.

Już po lekcyi. Książki, zeszyty do szuflady! Dziecko podskoczyło i dokoła pokoju kręcąc się na jednej nodze, klaszcze w dłonie. Samo nie wie czego kręci się, klaszcze i śmieje się, jak szalone. Pogoda cudna, bocian klekoce, kochany bocian, którego zna, odkąd świat pamięta. Pod oknem, w jaśminach kwitnących ptaki świegocą wesoło.

Cicho, sza! ktoś woła! Spieszczone imię dziewczęce dwiema miękkimi zgłoskami rozlega się po pokojach. To babunia...

— „Zaraz, zaraz, babunieczko, biegnę, lecę!”

„Pokój bieluteńki, bo babunia obić na ścianach nie znosi; na ścianie białej krzyż duży, u otwartego okna wielkie geranie w drewnianych doniczkach. Ale nie geranium teraz tu pachnie. Co to pachnie? Ach, poziomki!

U okna, przy stoliku, babunia dużą szpilką wybiera z dzbanuszka poziomki. Bujne, jędrne, ciemno-purpurowe, z białą kropką pośrodku, jak paciorki padają na spodek, z palców długich, żółtawych, jakby wyrzeźbionych z kości słoniowej Wysokie ogarniowanie białego czepca odbija na tle geranium, jak aureola włożona na pomarszczone czoło. Z pod czoła pomarszczonego piwne oczy patrzą jasno i wesoło; powieki żółkłe, biedne, mrugają filuternie.

— Chodź, chodź, mała! dostaniesz, oj dostaniesz... poziomki!”

„Jasna, mała sukienka już przytulona do sukni czarnej, szorstkiej, przypominającej habit mniszy. Ręka długa, żółtawa, staroświecką łyżeczką sypie biały, słodki pył na purpurowe paciorki, potem łyżeczkę oddaje drobnej ręce.

Po jednej, po dwie, z łyżeczki staroświeckiej poziomki wpadają do ust małych, co chwila wybuchających śmiechem. Bo na świecie błogo...

Jaskółka fruwała za oknem; bocian zerwał się ze stodoły i leci nad dziedzińcem ku topolom, za którymi słońce czerwone ku ziemi przysiąda. Mały Żuzu, kasztanek, postawił łapki na kolanach pani swojej i patrzy jej w oczy, bo chce cukru; a ona, coraz odwróci się od poziomek i patrzy w oczy babuni, bo nie wie sama co jest słodsze: poziomki osypane białym pyłem, czy źrenice, patrzące z pod powiek żółkłych? i co więcej miękkie: poziomka, rozplywająca się na podniebieniu, czy pomarszczona dłoń, głaszcząca jej włosy?”

Tak śpiewa woń poziomek, ale z pod powiek obrazy uchodzą i nikną. Pokój biały, geranie u okna, wielki dziedziniec z półkołem topoli, bocian, Żużu, babunia... wszystko zniknęło, i tylko, na chwilę jeszcze, — rzecz dziwna! — ostatni, sam jeden, pozostał na białej ścianie — ciemny krzyż.

Pora otworzyć oczy i powoli, powoli iść przez niwkę poziomkową. Kwitną i jednocześnie rodzą owoce. Krzewiny, osypane białymi kwiatkami, jednocześnie pobłyskują czerwienią jagód, wśród liści wyciętych w trzy kłapy ząbkowane i gdzieś tam tak prawie czerwonych, jak jagody.

Ale ziemia nie na to istnieje, aby tylko same słodkie jagódki na niej rosły. Tędy, jakby ktoś przeszedł z dzbankiem srebra płynnego, rozlewając je po trosze przez nieostrożność, tak ziemia tu i owdzie błyszczą od srebra, osypanego niezliczonemi, żółtymi gwiazdkami. To srebrniki, noszące na wielkim świecie nazwę *Potentilla*, a imion poszczególnych mnóstwo. Tu rozkrzewił się najbujniej *Argentaria* i jaskrawą żółcią gwiazdek niezliczonych rywalizuje ze świetną czerwienią poziomek. Aż skrzy się to, takie jaskrawe!

Lecz drobnymi wzrostami tymi i strojami bijącymi w oczy gardzi wysmukła, wykwiwna, niezmiernie dystygnowana *Veronica Spicata*, która na lodydze wysokiej i giętkiej kołysze dwa, trzy kłosa długie, wysadzone kwiatkami liliowymi, jak żyłki na delikatnej twarzy, z tkanką cieniuchną, jak suknia letnia elegantki. I wzrost i gibkość, i cera prawdziwej damy; to też gdzieś tam tylko stoi wśród pospółstwa wysoka, samotna, w otoczeniu służebnic, równych jej wzrostem, lecz bynajmniej nie kształtami ani barwą. Są to *Mietlice* brązowe, zdrowe, jędrne, lecz ciemne i rozczochrane, zwyczajnie jak służące. Kosmate głowy chyląc ku sobie w szeptach nieustannych, oddzielają piękną Weronikę Spikatę od pospółstwa, które zaledwie do kolan jej dorasta, i zarazem od krzewu wysokiego, na którym teraz właśnie *Rosa Canina* otwiera na świat skromne, ale czarujące oczy. Ten krzew kolczasty, gęsty, zdala jaśnieje mnóstwem płatków kolistych, dużych, różanych, a jak *Potentilla Spicata*, tak *Spicata* Kaninie do kolan nie dorasta. Więc wykwiwna pani, oko w oko spotkawszy się z rywalką, niechętnie odwraca swoje kłosa wiotkie, liliowe i z pośród tłumu mietlic — służebnic pochyla je z tęsknotą w stronę, pod gęstwiną cienistą...

Brzegiem gęstwiny cienistej siadły wielkim i nieporządnym tłumem jałowce pękate, prawie czarne, osypane deszczem jagód zielonkawych, twardych i błyszczących. Krzaki to są grube, iglaste, suche, tak ciemne, że prawie czarne; tem niespodzianie wychylają się z za nich, płonące najczystsą purpurą fioletową, wielkie korony *Bodzisza* krwistego.

Tak to się tylko mówi: *Bodzisek*, potocznie partykularnie. Na świecie szerokim, istota, która rzuca na ubogie jałowce ozdoby niespodziewane a świetne, nosi dosyć arystokratyczne imię: *Geranium*. Jakto? Może to samo, które stało u okna babuni, takie szerokie, liściaste? Jak się masz dawny... Nie, nie. Z tego samego rodzaju, lecz nie ten sam. Bo jest ich wielu braci. Tu osiadł ten, który, rzecz dziwna! najchętniej obiera sobie miejsce wśród jałowców, a nosi poszczególne imię krwistego, czyli *Sanguineum*, nie tyle z powodu korony purpurowej, ile dla szczególnej właściwości liścia, z jesienią nabierającego barwy jak krew czerwonej. Teraz jeszcze te liście, bardzo misterne, po prostu w koronkowy sposób wyciskane, są niewidzialne na tle ogólnie zielonem; tylko kwiat bujny, szeroko rozarty, z pięciu płatkami blednącymi ku środkowi, goreje jak płomyk pośród żalobnych, suchych, ubogich jałowców. Nie jest jeden; owszem, płomyki takie rozrzucone są po jałowcach w stronach różnych, ale zrzadka! Niczego wykwiwnego niema na świecie wiele. *Geranie* krwiste są tak nieliczne, jak *Weroniki Spikaty*; to też, ile tylko jest tu *Weronik*, wszystkie pochylają swoje liliowe kłosa ku purpurowym *Geraniom* z utęsknieniem takim, z jakim istoty wszelkie pochylają się ku istotom równym sobie. One z pod róż dzikich, oni z za jałowców, patrzą na siebie jak wybrańcy natury, rozłączeni dlatego właśnie, że są wybrańcami, skąpo rozrzuconymi po ziemi, zaludnionej gminem. Daremnie tęsknią; nie połączą się nigdy, i jedna tylko jest dla nich nadzieja: jeżeli komu z ludzi przyjdzie do głowy ułożyć bukiet z kwiatów leśnych, zerwie najpewniej *Weroniki* i *Geranie*, które podówczas umrą wprawdzie, ale w jednym dzbanku.

Cicho i skwarno. Pod błękitem płyną obłoczki kędzierzawe stadkami, pojedynczo, lecz nie gaszą żaru słonecznego, w którym liście przybierają postawy obwisłe, kwiaty wydają się mdlejącymi, na sosny występują sznury kropel bursztynowych i pachną tak mocno, że, zda się, żywica wygnała z lasu powietrze wszystko i sama jedna do płuc przenika. Duszno.

Najduszniej tam, gdzie podszycie boru z leszczyn, trzmielin, berberysów i paproci, tcze wzory rozmaite, nieprzejrzanie dalekie i gęste.

Trudno oddychać i trudno drogę sobie torować w tej zarośli pełnej światła i zmroków. Promyki kręte, przebijając w górze splecione konary, w dole pozłacają wierzchy leszczyn i oświetlają na pniach sosen koronkowe wzory porostów. Czasem klomb paproci stoi w świetle i zdala tworzy dla oka wielką plamę złotą. Migocą zresztą, przebiegają, tańczą po pniach, pod krzakami, w liściach, iskry, strzałki, wężyki złote. Ale pomimo to, panuje w tym miejscu, pośród dnia słonecznego, prawie zmrok. Z trudnością rozchylając gibkie, lecz splecione gałęzie leszczynowe, koląc się o berberysy, ślizgając się po wzgórzach igieł suchych, spostrzegasz w cierniach jakieś twarze wielkie, okrągłe, żółte, które ze splecionych liści z ciekawością nieruchomą patrzą na intruza. Zupełnie słoneczniki, tylko znacznie mniejsze, jednak duże. To *Arnika*, która z niskiej kępy liści zapala na lodygach wysokich słońca promieniste, najforemniej okrągłe, zrzadka świecące w cieniach. Tu także, wysoko nad paprociami i nawet nad jałowcami, bujają pióropusze śnieżne *Spiraci Ulmarii*, wspaniałej mieszkanki gęstwien cienistych i cichych. Wysoka i sztywna, ma ona w sobie coś rycerskiego. Pióropusze jej bieleją zdala, jak płaty śniegu; najłżejszy wiatr igra z ich włosami, w których wiszą rzędy i grona gwiazdek śniegowych.

Ale co to? Nic już nie widać: ani Arnika, ani Spirei, ani dzwonek jednostronnych, okrągłolistnych, rozpięchłych, które na wszystkie strony rozrzuciły tu swoje liliowe kieliszki, kubeczki, dzbanuszki... Nic nie widzisz. Oślepieś. Rozchylając gałęzie, wzięłeś na twarz coś szorstkiego, włochatego, zarazem trochę lepkiego, pod czym powieki zamknąć się musiały. To pajęczyna, zdjęta twarzą wsuwającą się tam, gdzie prawie nigdy twarz ludzka nie zagląda. Jedno mieszkanie pajaka zniszczone, ale podobnych znajdziesz się tu mnóstwo. Gdzie najgęściej, tam od gałęzi do gałęzi rozpostarte tkanki szare, czasem grube i szorstkie, jak ścierki, czasem delikatne, powiewne, srebrne, jak promieniste koła utkane z mgiełki. Na tego, kto się nie kocha w rodzie owadów, to miejsce czyha z każdej gałęzi obrzydzeniem. Co chwila można wziąć na twarz pajęczynę, a dość trudno uwolnić się od tej maski, takie to lepkie i włókniste, czepia się skóry, z policzka zdjęte zostaje na ustach, z oczu ściągnięte wlecze się po szyi, a pajęczynko szpetne przechadza się po palcach i trzy razy zrzucane, trzy razy jest znowu. Uciekamy! Ba! Nie łatwo! To pułapka. Przedzieraś się i przedzieraś przez krzaki kolczaste i liściaste, przez paprocie ogromne, przez widłaki, które rzeszami po mchach łażąc, stopy ci oplątują; wciąż jeszcze świata bożego nie widać. Grzyby i ocet zapachniały jednocześnie. Syrojeżki, czerwone jak jabłuszka, kupką siadły pod sosną, która gałęzie jak parasol nad niemi rozstawiła, i pod tym samym parasolem, w pobliżu, rozsypały się narodem całym maślacze brunatne, tak połyskujące, jakby naprawdę były posmarowane masłem. A octem pachnie od mrowisk, wznoszących się pod sosnami. Muszą być drogi bardzo liczne, całe systemy dróg, okrywające państwo mrówcze, na dnie listowia, porastającego ziemię, pod warstwami igieł suchych, które tu nie wiedzieć od ilu lat, jedne na drugie, każdej jesieni padają i padają. Lecz wiele czasu i trudu potrzeba, aby je odkryć, a tymczasem duszność taka, że płuca proszą o powietrze, ręce pokłute i kędy spojrzeć — pajęczyny z pajakami!...

Jednak przestrzenie wolne i jasne już kędyś niedaleko, bo nieco wiatru dostaje się w zarośla i zapach żywicy osłabł znacznie. Ptaki także, które w upale i duszności milczały całkowicie, odzywać się zaczynają. Rzadniejsze podszycie lasu; drzewa same coraz rzadziej rozstawione, pozwalają dostrzedz pobłyskujące błękity, nie w górze tylko, lecz i w dole. W górze niebo przegląda pomiędzy chwiejącymi się konarami, jak przez ruchome oka sieci potężnej. To zaś, co w dole naśladuje błękitne niebo, jest wodą, rzeką. Jeszcze ona daleko; to błysnie za drzewami szmatą jedwabiu błękitnego, to zniknie, ale ptaki, które czują świeżość, lecąc od wody, i rade są w pobliżu gniazd posiadać studnię niewyczerpaną, mnożą się i wnoszą gwary coraz głośniejsze.

Rozmaici mieszkańcy i mieszkanki lasu, korzeniami tkwiący w ziemi, to naród; pod wierzchołkami zaś, wysoko, mieszkają poeci narodu leśnego wszelkich wzrostów i wszelkiej miary głosów, jak bywa z poetami narodów wszelkich. Najgwarliwszym i najcięższym jest tu świągot zupełnie elementarny, coś podobnego do nieczłonkowanej mowy Chińczyków, po dwie sylaby w wyrazie każdym: „ci-ci, li-li, pi-pi!” — nadzwyczaj proste i niemelodyjne, ale tak liczne, że czasem aż ogłuszają. Kukulki zato, macierzyńskie prace zdawszy na malutkie pliszki, kędyś u skraju lasu, blisko wody, w świeżości i pełnym świe-

tle kukają głośno, wyraźnie, miarowo, wcale nie chórem, bo gdy jedna przestaje, wtedy dopiero druga zaczyna, a tej u końca wtóruje trzecia, a czasem zaś którakolwiek z większej swobody aż zanieś się od śmiechu. Są to próżniaczki i lekkomyślnice, niemniej poetki wdzięku pełne. Lecz gołąb-grzywacz jest tak ponury, że można śmiało obdarzyć go tytułem pesymisty lasu. Głos ma donośny, a gdy się odezwie, przysiadz trzeba, że to ofiara mordowania o ratunek woła. „Huu-huu! huu-huu!” — woła, i jest w tem wołaniu przypomnienie noża mordercy, nocy ciemnej, konduktu pogrzebowego, rozpaczy samotnie wyjącej na grobach. Szczęściem, szczygły, śpiewające wielkim chórem, zagłuszają prawie lamenty grzywacza; w pobliżu rozlegają się głośne, miarowe stukania dzięciołów, a tuż nad głową coś dużego i świetnego w gałęziach przeleciało. To kraska mieniąca się na piórach macicą perłową i turkusami. Pomyka wysokimi gałęziami w milczeniu, tylko z szelestem dużych skrzydeł, i zapada między drzewa, kędy rozlegają się gwizdania kosów krótkie, melodyjne, z cieniutką nutą u końca jak z haczykiem.

Ale najwyżej, najwyżej, u tego z wierchołków, który zdaje się dotykać obłoczka kędzierzawego, słyhać piski ostre, przykre, dzikie, w których każdy poznać może skomlenie piskląt krogulcowych, oczekujących w gnieździe na powrót ojca z krwawym łupem. Tam, wysoko nad narodem leśnym i jego poetami, założył sobie gniazdo krogulec, tyran leśny. Niewiele przyjemniejszymi od pisków krogulczych są piski wron, odzywających się zrazu rzadko, potem coraz częściej, szybciej, chóralniej. Brzydko, chrapliwie, monotownie, głupio, kraczą głupie, nieznośne wrony!

Wtem kwiat znowu zaśpiewał wonią. Migdałami powiało skądś tak silnie, iż rzekłbyś: „Południe, Grecya!” Naokół jednak nic nowego. Gdzieniedzie jeszcze żółta twarz Arniki z za krzaka wygląda, *Rosa Canina* patrzy mnóstwem oczu różanych, Kampanule dzwonią w liliowe kubeczki, dzbaneczki; najniżej puszcze borówek uginają się pod stopami. Skądże te migdały? Biją od ziemi jak z kadzielnicy, tak silnie, że żywica umilkła i oniemiał pewien śpiewak znakomity, Storzcyk Podkolan, biały, stożkowaty członek arystokratycznego rodu Orchideów.

Przy samej ziemi, przy samej ziemi, niżej od borówek i poziomek, drobniutka ze swymi drobniutkami, okrągłymi listki rośnie, pełnie, czołga się mnóstwem kół i zygzaków istotka pełna wdzięku, który ukrywa się skromnie, *Linnea Boreale*, stara mieszkanka północy dalekiej. Jakie nowiny przynosisz, *Linneo*, ze swej rodzinnej Szwecyi? Wielki Szwed, kochanek kwiatów, zapoznał się z nią pierwszy z ludzi i dał jej swe imię. Drobniutka, nosi imię wielkiego męża; prawie niedostrzeżona, wydaje się nieskończoną, bo gdziekolwiek wypuści pędzik jeden, tam już zaczyna iść po ziemi, raczej pełznąć, i idzie, pełnie bez żadnego zda się końca. Z pomiędzy jej listków drobnych, okrągłych, wystrzeliwiają w odstępach małych widelki dość wysokie, a na każdym zębie tych widelków wisi po kieliszeczku bardzo różowym, nalany wonią migdałową. Czarki małe, ale jest ich mnóstwo, więc śpiew woni staje się coraz i coraz mocniejszym, w miarę jak *Linnea* coraz wzorzystszym, gęstszym kobiercem zaściela ziemię. Czasem, śliczne to maleństwo wspina się na pnie po drzewach ściętych i tak je oplata, że wyglądają jak poduszki puszyste od listowia drobniutkiego i natykane widelkami, u których wiszą kieliszki, pełne woni migdałowej. Wtedy pnie drzew ściętych w borze nadniemeńskim śpiewają o Szwecyi różanemi usty rośliny, noszącej imię wielkiego Szweda.

A wrony kraczą coraz głośniej, wrzawliwej. Czego one tak się rozkrzyczały? Co prawda, wstąpiliśmy do ich państwa, w którym wolno im krzyzczyć i wogóle robić co się podoba. Bo brzegiem łączki leśnej, za którą pełnym już szlakiem błękitnym prześwieca rzeka, wisi na gałęziach mnóstwo gniazd wronich, wielkich, kosmatych czapek, pełnych piskląt. W państwie leśnym państwo, w rodzie skrzydlatym plemię osobne. Wrzaskliwe plemię. Wrzaskiem swym psuje koncert natury. Gdybyż umilkły na chwilę! Nie, coraz przeraźliwiej wrzeszczą, i zaczyna być w tym wrzasku trwoga, gniew, krzyk na pomoc, wołanie na bój. Zlatują się też zewsząd, z nad wody, z głębin lasu, z pól odległych. Wielkie, czarne, przerażone, ciężkim lotem śpieszą pojedynczo, gromadami, krążą w powietrzu lub osiadają na gałęziach, u gniazd, w których pisklęta już spore, skrzydeł próbując podlatują. Od czegoż padł na nie strach taki wielki? Czego rozwrzeszczały się tak piekielnie? Brzydko, chrapliwie, monotownie, głupio wrzeszczą głupie, nieznośne wrony!

Pod niebem, pod samem niebem, krogulec waży się na skrzydłach szerokich i pod grozą oka swego długo trzyma poetów lasu. Straszne to oko: krwią zasze, krwią żądne,

dalekowidzące. Z pod chmur dostrzega ptaszę w krzewinie; w głąb ziemi chyba zapaść, aby się przed nim skryć. Kiedy przez chwilę, nieruchomo jak teraz pod niebem zawiśnie, to tylko dlatego, aby namyślić się i wybrać ofiarę. Potem jak piorun spadnie na kogo zechce, i sądu nie będzie, ani litości. On pan, bo silny.

Umilkł las, w gąszczu najgłębsze skryli się jego poeci, i słychać tylko po krzakach, po gniazdach, ciche wołania, fruwanie, pogwizdy podobne do jęków. I te ustały. Cicho, jak makiem posiał. Terror nakrył wierzchołek lasu, jak wieko trumnę.

Tylko wrony nie przestają wrzeszczeć, owszem, coraz szerzej otwierają dzioby, rozdławione, przerażone, ale zarazem zdjęte gniewem, od którego pierze jeży się im na grzbietach, a skrzydła drgają, podlatują, łopoczą, jak sztandary rozwijane. Nie chowają się bynajmniej; na drzewach siedzą złe, napuszone, albo krążą koło gniazd, rozstawiając przed nimi skrzydła, jak parawany. Może zamierzają wrzaskiem odstraszyć tyrana lasu... Płonne nadzieje! Nieraz już słowiki oczarować go próbowały. Śmiały się tylko i co dziesiątego zjadł. Na plemię rozkrakane ma krzywy dziób i szpony.

Z pochylonym nisko dzióbem i szponami, rozpostartymi nakształt haków krzywych, wielkich, wyostrzonych, z szybkością błyskawicy, w linii prostopadłej, spadł na jedną czapkę kosmatą i wyrwał z niej pisklę wronie.

Wówczas w powietrzu stało się coś dziwnego. Chmura ciemna okryła duży kawał nieba; cały naród wroni, jak jedna wrona, podniósł się na obronę swojej krwi. Hałas, chaos, ruch wściekły ciał skrzydlatych, okrążających jedno, lecz potężne. Właściwie, potężną była jego zbroja. W dzióbie trzymając skrzydło ofiary, szponami raził piersi bojowników, skrzydłami mocnymi, jak wichry, bił ich po głowach. Krwawi, ogłuszeni, padali na łączkę zieloną, miażdżąc ciałami wiotkie Weroniki, rosą czerwoną zwilżając srebrne Potentille. Lecz był to ubytek kropli w oceanie. Powietrze drżało walką, której końca z drżącymi piórkami oczekiwały wszystkie rody ptasie, bez oddechu skryte po drzewach i krzakach. Ciekawie spoglądały na nią z za krzaków żółte twarze Arniki, Geronie wśród Jałowców płonęły rumieńcem zapału, w gęstwinach najdzikszych Spiree wstrząsały hardo pióropusze białe, a Fragarye rubinowe, Pyrolla pachnąca, Linnea wdzięku pełna, nawet Borówki sztywne, od samej ziemi szeptały chórem: „Boże, dopomóż! Boże, dopomóż!”

Dopomógł. Z tłumu czarnego, zawrotnie krążącego na skrzydłach zdjętych gniewem, silnych od gniewu, łopoczących, zażartych, tyrana lasu wypłynął jak łódź z żaglem wzdętym, chyżo, chyłkiem, z dzióbem pustym, ze szponami zwiniętymi, zwyciężony, poraniony, zawstydzony, uciekający. Nie śmiał do gniazda powracać bez łupu; więc odleciawszy daleko, daleko, bezsilnie opuścił się na drzewa i smutnie, ciężko, cicho, w ciemną ich głębię zapadł. Podówczas wszystko, co było w lesie liściem, trawą, igłą, zaruszyło się i uderzyło w oklask ogromny: „Brawo, wrony, dzielne, mądre wrony! brawo! brawo! brawo!”

Wrony, bez tchu i głosu, posiadały na gałęziach i dzióbami pióra wygładzają, lub zamysłone siedzą, spoczywając. Obroniły krew swoją. Oddały syna matce, rycerza przyszłego plemieniu swemu. Ocaliły cząstkę mocy swojej. Pomściły zgwałconą sprawiedliwość. Teraz to jedna, to druga, podniesie głowę i zakracze tryumfująco: „Dobrze mu tak!” — „Dobrze! dobrze!” — odpowiadają inne. — „Nie prędko powróci!” — „Oho! oho! niech spróbuje, będzie mu znowu!”

Wieko spadło z trumny, las odżył. Kukułka znowu kuka i zanosi się od śmiechu, dzieciociół stuka, kosy gwizdzą, szczygły i inne drobne ptactwo świegoce na wszystkie możliwe tony i tempa. Poeci lasu, rodów i stopni wszelkich, wzniesli pean na cześć bohaterów. A Pyrolle wonne, Linnea pełna wdzięku, bursztynowe krople żywicy na sosnach, nawet czerwone jak jabłuszka Syrojeżki od stóp sosen, chórem woni wtórują: „Boże, błogosław! Boże, błogosław!”

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wsrod-kwiatow/>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Chwile*, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1901.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0663-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).